

Chūya NAKAHARA, PIEŚNI KOZŁA (1) 〔中原中也「山羊の歌」のポーランド語訳〕

渡辺 克義
山口県立大学国際文化学部

Chūya NAKAHARA, PIEŚNI KOZŁA, cz. I

przeł. Katsuyoshi WATANABE

Chūya NAKAHARA urodził się 29 kwietnia 1907 r. w Yamaguchi. Już w 1920 r. opublikował *tanka* w kobiecym czasopiśmie „Fujin-gahō” i w lokalnej gazecie „Bōchō-shimbun”. Dwa lata później, w Kioto ukończył gimnazjum i wszedł w środowisko dadaistów. W 1923 r. poznał Yasuko Hasegawę i zakochał się w niej, ale ona w końcu odeszła do przyjaciela Nakahary, Hideo Kobayashi. W 1931 r. wstąpił na romanistykę Tokijskiej Szkoły Języków Obcych i zajął się tłumaczeniem poezji francuskiej (zwłaszcza Rimbauda). W 1933 r. ożenił się z Takako Ueno. W 1934 r. ukazał się jego pierwszy zbiór wierszy pt. „Yagi-no uta (*Pieśni kozła*)”. Umarł na zapalenie opon mózgowych 22 października 1937 r. w Kamakurze. Pół roku później ukazał się jego zbiór wierszy pt. „Arishi hi-no uta (*Wiersze minonych dni*)”.

PIEŚNI KOZŁA, cz. I

WIERSZE Z WCZEŚNIEJSZYCH CZASÓW

WIOSENNY DZIEŃ O ZMIERZCHU

Dach z ocynkowanej blachy przeżuwa ryżowe krakersy
Spokojny wiosenny dzień o zmierzchu
Bieleje rozrzucony popiół
Cichy wiosenny dzień o zmierzchu

Chwileczkę! Czy to mógłby być strach na wróble?- Nie wydaje mi się!
Czy to może konie rzą? — Żadnego rżenia!
Światło księżycy rozlewa się
Wiosennego dnia jak zwykle zapada zmierzch

Świątynia w polu powoli barwi się na karmazynowo
Z koła wozu ciągniętego przez konie ścieka kropelkami
olej
Kiedy mówię w tym historycznym momencie
Przekrzykują mnie niebiosy i góry

Dachówka się poluzowała
Od tej chwili bez najmniejszego dźwięku
Zmierzch wiosennego dnia
Sączy się w swoje żyły

KSIĘŻYC

Dziś wieczorem księżyc jeszcze bardziej zbolęły
Przybrany ojciec mruży oczy podejrzliwie
Czas obmywa srebrną falą na pustyni
A małżonki starego człowieka jarzą się wewnętrznym
światłem

Zapomniany aż do dziś brzeg kanału
Huk zbiornika wciąż tkwi w mojej głowie
Księżyc porusza się leniwie
Zapalając zardzewiałą tytoniową fajkę

Wokół siedem sylfów
Kręci swoje piruety
Ale serce księżycyca pozostaje niepocieszone

Nie daje mu to ukojenia.
Rozrzucone w oddali gwiazdy... Hej, wy tam...
Księżyc czeka na waszą zagładę

CYRK

Były kiedyś czasy...
Wojny w okresie brązu

Były kiedyś czasy...
Zimy, wichury szalały

Były kiedyś czasy...
Ale dziś wieczorem tutaj jest szaleństwo
Ale dziś wieczorem tutaj jest szaleństwo

Z belki w cyrkowym namiocie
Zwisa trapez, a nim huśta się artysta
A może tak mi się tylko wydaje
Zaczepiony nogami ze swobodnie dyndającymi
ramionami
Pod brudnym płóciennym dachem
Juaan! Jujoon! Jujajujon!

Białe światło obok
Wydycha tanią wstążkę
Widzowie wyglądają jak sardynki
A ich gardła świszczą jak muszle ostryg
Juaan! Jujoon! Jujajujon!

Na zewnątrz egipskie ciemności —
nieprzenikniona ciemność
Wieczór upływa pod znakiem
Głupiej nostalgii za spadochronem
Juaan! Jujoon! Jujajujon!

WIOSENNA NOC

W poplamionej srebrnej ramie okiennej
Rozkwitają kwiaty — kwiaty w kolorze brzoskwiniowym

Słabnie w świetle księżycy
Ziemski ogród, znamię piękna

Ach, nic się nie liczy, nic się nie liczy
Drzewa kołyszają się dyskretnie

W tych niemrawych odgłosach
Nie ma nadziei, ani skruchy

Tylko robotnik leśny, pokorny wobec gór
Może w czasie snu rozpoznać niewyraźne ślady
karawany

Za oknem ciemno, chłodno
Jedwabna sukienka przybrała kolor piasku

Dźwięki wydobywają się z pleśniałego pudła fortepianu
Żadnych przodków — rodzice także odeszli

Gdzieś został pochowany pies;
Na powierzchni pojawia się szafranowa żółć
Wiosenna noc!

PORANNA PIEŚŃ

Na suficie odbija się czerwonawe światło
Przez szparę w drzwiach sący się
Przywodząc na pamięć dawną pieśń wojskową
Nie wiem, co zrobić z rękoma

Nigdzie nie słyhać śpiewu ptaków
Niebo jest dzisiaj jasnoblękitne
Utrudzone serce człowieka
Nie ma się kogo poradzić

Poranki poirytowane zapachem żywicy
Srąciły dla nas znaczenie wszystkie nasze marzenia
Las, jakże on wyje na wietrze

Naciągnięte sztywno niebo
Znika wzdłuż nabrzeża
Jak wszystkie nasze piękne marzenia

GODZINA ŚMIERCI

Jesienne niebo jest matowoszare
Błysk w oku karego konia
Wyschnięta ziemia, lilie wędną
Ach! To serce jest puste

Bez Boga, bez przewodnika
Obok okna zmarła kobieta
Wzrok zastygł w bieli nieba
Zimny podmuch wiatru zmroził ciało

Twoje ręce zdradzały delikatność
Gdy myłaś włosy przy oknie
Poranne słońce rozlewa się
Przy odgłosach kapiącej wody

Był kiedyś zgiełk w wiosce
Dziecięce głosy mieszały się ze sobą
Więc czym stanie się ta dusza?
Czy znikając, zostanie jedną z tych w niebie?

LETNI WIECZÓR W MIEŚCIE

Księżyc na niebie wygląda jak medal
A budynki wzdłuż ulicy jak piszczałki organów
Wracający do domu z hulanki mężczyźni śpiewają
Kołnierzyki ich szalowych smokingów są w nieładzie

Otwierają szeroko usta
Ale smutek gości w ich sercach
Ich głowy przypominają ciemne grudy ziemi
Mimo to śpiewają... la la la

To nie jest tak
Że zapomnieli o pracy czy o przodkach
Po prostu letni wieczór zapada w mieście

W błyskach fajerwerków
I świetle ulicznych lamp wszystko się rozmywa
Mimo to śpiewają... la la la

PEWNEGO DNIA JESIENIĄ

W taki ranek jak dziś wszyscy, którzy zaspali
Toną w morzu nawiedzonym przez syreny
Zwabieni dźwiękami stukających drzwi i kół

Nic nie pozostało z rozmów w letnie noce o rosie
Budowniczy też więcej nie zaprzatają sobie głowy robotą
To wszystko to już pradawna historia
W kolorze horyzontu po drugiej stronie granitowego klifu

Tego ranka wszystko jest na swoim miejscu... w górze
flaga konsulatu
Jesień to kapłańskie sprawy, miejskie place i niebiańskie
werble
W czerwonym cieniu dziecko przykucnęło w parku i
włożyło łopatką do buzi piasek
Niepomne na chrapliwe wrzaski ślimaków

(Do diabła z tym wszystkim!
Na jasnoniebieskim peronie
Hałaśliwe dziewczęta i naśmiewający się jankesi!
Antypatyczni! Antypatyczni!)

Wcisnąłem ręce do kieszeni
I poszedłem alejkami w stronę nabrzeża
Nagle łapię w ramiona duszę dzisiejszego dnia
I przychodzi mi na myśl, że mógłbym poszukać
gałganów

PÓLMROK

Na zastygłej i mrocznej tafli stawu
Liście lotosu zaczynają się trząść
Ponieważ liście lotosu są wstydlive
Wydobywają się jedynie słabe dźwięki

Moje serce drży kiedy słyszy te dźwięki
Moje oczy podążają za łuną w oddali
W zapadających ciemnościach góry ledwo są widoczne
Co raz stracone, nigdy już nie wróci

Nie ma nic smutniejszego niż to.
Do nosa wkrada się zapach wyrwanych traw
Podczas gdy ziemia i sterty kamieni na polu wpatrują się
we mnie.

Jak w ogóle mogłem pomyśleć w tym momencie o
zaoraniu pola!

Tkwiąc nieobecny myślami w półmroku
Ale kiedy w mojej głowie pojawia się obraz ojca, robię
jeden krok
a potem drugi i po prostu oddalam się

MYŚLI O PÓLNOCY

Uroczę bąbelki
Ulatniają się
I nagle — pochlipiwanie niesfornej dziewczynki
Torebka wieczorny glut damy

Zmierzch w lesie —
Zamglona matka
Owady brzęczą w wierzchołkach drzew
Komiczny taniec dziecięcego smoczka

Nie widać ogara z postrzępioną sierścią
Zgarbiony myśliwy odwocił się.
Łąka pod lasem zapada się!

Małgorzata podchodzi bliżej do ciemnego brzegu
Jej welon powiewa na wietrze
Musiał się rzucić do morza
Na spotkanie autorytatywnego ojca-boga

Ponad kobietą na urwisku
Duchy kreślą tajemnicze linie
Jej pamięć jest jak nauka ze smutkiem wyrzucona do
kosza

Musi się spieszyć po śmierć

DESZCZOWA ZIMOWA NOC

Zimowa noc pogrążała się coraz bardziej w ciemnościach
Padał ulewny deszcz
Pozostawiona o zmierzchu zwiędła biała rzodkiew
wyglądała smętnie
Nikt się o nią nie troszczył
Zimowa noc pogrążała się coraz bardziej w ciemnościach
Padał ulewny deszcz
Nawet docierały głosy zmarłych dziewic
„aé ao, aé ao, éo, aéó éo!”
Dryfujące na deszczu
Białomleczne pęcherzyki, wszystkie bez wyjątku,
zniknęły
Zimowa noc pogrążała się coraz bardziej w ciemnościach
Padał ulewny deszcz
Starannie zawiązany pas obi od kimono mojej matki
Obmyty deszczem nieznacznie się wysunął zagnieciony
Czy ostatecznie ludzkie współczucie
Ma jedynie kolor pomarańczy?

POWRÓT DO DOMU

Słupy, ogród... wszystko wyschnięte na wiór
Dzisiaj jest ładna pogoda
Pod gankiem pajęczyna
Drży zboża

Obumarłe drzewa w górach wzdychają
Ach, dzisiaj jest ładna pogoda
Cienie rosnących na poboczu traw
Wydzielają niewinny smutek

To jest moje miejsce rodzinne
Nawet powiał wietrzyk
Podejdź i wyrzuć z siebie wszystko
Skrzeczy stara kobieta

Och, co ty zrobiłeś?
Wiatr mówi do mnie

PRZERAŻAJĄCY ZMIERZCH

Gdy nawet zmieniający się wiatr jest apatyczny
I gdy wieje na trawę, widzę
Wojowników z plemienia Hayato z odległej przeszłości

Z pomalowanymi na srebrno dzidami

Rozpychają się wzdłuż brzegu
Zależni od tych małych rybek —

Chociaż wiatr nie kusi
To szkielet spoczywający w ziemi —
Podsłakuje do krawędzi nieba

Domy, zachowując czujność,
Starają się ukryć swoje poplamione nikotyną zęby

WIERSZ O UMIERAJĄCYM LECIE

Wierzchołki drzew w alei oddychają głęboko
Ze wzbijającego się, stale wzbijającego się nieba
widziałem wszystko
Zdumiony samotny podróżny właśnie przechodzący
Znajduje kawałek sztuczonego szkła w piasku

Szczyty gór są kruche, coraz bardziej kruche
Złota rybka i dziewczyna świszczą z ich jam
Namalowałem wczoraj łzę owada
Na samolocie lecącym w górze

Gdy wiatr podrywa wstążkę do nieba
Coś jest w tym jak wzburzone morze opada
Coś jakby w tych falach wydawało się mówić

To nie jest pułk ułanów, ani ich ruchy ciała
Ani coś w ich przepisowych oficjalnych czerwonych
butach
To nie jest też jeździec na górskiej drodze
Ale coś jakby w rowerze wydawało się mówić

SMUTNY PORANEK

Huk wydobywa się z górskich kaskad
Wiosenne światło słoneczne jest jak kamień
Sącząca się z bambusowych rurek woda pieni się
Niczym posiwiła staruszka

Dochodzi śpiew ze skalnych ust
Przewraca się do tyłu i śpiewa
Serce schnie i gniece się
Nad urwiskiem balansuje głąz

Tajemnicze ognie unoszą się do góry!

Strugi deszczu obmywają cię!

.....

Klaszczę w dłonie tak czy owak...

WIERSZ O LETNIM DNIU

Błękitne niebo jest nieruchome
Nie widać nawet najmniejszej chmurki
W martwocie letniego południa
Nawet smoła zaczyna lśnić

Coś jest w letnim niebie
Coś, co sprawia, że czujesz się żałośnie
Spalone słońce i bezczelne gęby słoneczników
Kwitną przy wiejskiej stacyjce

Jak matka karcąca swoje dziecko
Lokomotywa gwizdże przeraźliwie
Kiedy przejeżdża przez góry

Przejeżdża przez góry
I przeraźliwy gwizd pociągu brzmi jak matka
W upale letniego południa

ZACHÓD SŁOŃCA

Te wzgórza obejmując się
Odsuwają się

Gasnące światło, barwa uczucia
Kolor złota

Trawiaste pola
Nucą ludowe melodie
Zalesione partie gór
Wprowadzają w słodkie lata

Ale w tym momencie jestem wciąż żywy
Dzieci otaczają mnie dookoła
Ciało ostrygi

I w tym momencie, nienaruszonej integralności,
Chyba mam wszystkiego dosyć
Odchodzę z założonymi rękoma

JESIEŃ W PORTOWYM MIEŚCIE

Słońce pada na kamienisty klif
Jesienne niebo jest tak piękne jak tylko może być
Z oddali port wygląda prawie
Jak ślimak wystawiający rogi

W mieście ludzie czyszczą cygarniczki
Dachówki się rozciągają
Niebo się rozdziela
Dziś święto — ludzie w watowanych kubrakach

„Gdybym się urodził ponownie...”
Podśpiewuje żeglarz
„Chodźmy na huśtawkę...”
Śpiewa stara wiedźma

Jesienny dzień w portowym mieście
Przypomina umiarkowane szaleństwo
Pozwoliłem nawet swojemu życiu
Usiąść tego dnia na krześle

WESTCHNIENIE

Dla Tetsutaro Kawakami

Westchnienie, które unosi się i wpada w nocne bagno,
Migocze w grzęzawisku
I to migotanie prawdopodobnie też dźwięczy
Złowrogo unosi się
Drzewa wyglądają jak karki uczniów

Czyż okna nie zostaną otwarte na oścież
Kiedy wypełni świat?
Chłopi zaciągną swoje wozy do miasta
I na pewno ich westchnienia będą głębsze
Jak dźwięk kół wozu, który odbił się echem od wzgórz

U podnóża góry wystające z pola sosny
Na pewno gapią się na mnie
Prawdopodobnie tak jak wuj
Którego uśmiechu nawet w lepszych czasach nigdy nie
widziałem.
To wygląda tak jakby Bóg łowił ryby na dnie stratosfery

Kiedy niebo się zachmurzy
Można założyć, że wyłupiaste oczy szarańczy
Będą wystawać z piasku
Miasto z daleka wygląda jak wapień
Gałki oczne Piotra Wielkiego świecą w chmurach

WSPOMNIENIE WIOSNY

Zbierałem kiście kwiatów lotosu
W drżącej wieczornej mgłę wiosną
I rzuciłem je wszystkie w porywie na ziemię

Kiedy nadszedł czas na kolację

Pozwalając sobie na dłuższe spojrzenie,
Oczyściłem ręce z brudu.

I kiedy biegłem z powrotem wzdłuż drogi,
Otworzyło się przede mną gorejące niebo!

Wkraczając do środka nagle spostrzegłem
Że atmosfera staje się intymna
I że dymiąca kolacja, wzgórze promieniejące w
jesiennym świetle
Mogą rozproszyć moje istnienie

Wewnątrz tego zamożnego domu w minionych czasach
Wydymające się sukienki w kwadrylu
Wydymające się sukienki w kwadrylu
W tańcu, który musi się kiedyś skończyć

JESIENNE NIEBO O ZMERZCHU

Czyż to nie jest uroczysty widok
Ludzie mówiący jeden przez drugiego
I te wszystkie damy
Nutka elegancji
Podczas gdy tutaj mamy jesienny wieczór
W niebiosach świętowanie na całego

Złota lampa się żarzy
Na wypolerowanej podłodze
Nie ma żadnego krzesła
Ani jednej powiewającej spódniczki, ani maleńkiej
główki
Podczas gdy tutaj mamy jesienny wieczór
Tam w niebiosach iluminacje

W łagodnie iskrzącym się niebie
Pradawne święto dziękczynne
Ciche, takie ciche święto
Wieczorna uczta niebios
Chociaż widziałem to z tego świata
Wszystko rozpadło się zanim pojąłem sens

Kac

Rano- razi mnie ostre światło słoneczne
I wieje wietrzyk
Tysiąc aniołów
Gra w koszykówkę

Zamykam oczy

Uczucie przygnębienia po pijaństwie
Piec nieboszczyk
Pobielaty od rdzy

Rano- razi mnie ostre światło słoneczne
I wieje wietrzyk
Tysiąc aniołów
Gra w koszykówkę

W CZASACH MOJEJ MŁODOŚCI

Promienie słoneczne padają na niebiesko-czarne
kamienie

Ziemiski ogród śpi pogrążony w czerwieni

Na horyzoncie podniosła się para
Jak znak końca świata

Wiatr przemykał przez pola pszenicy
Kłęby pary rozmazywały się w szarości

Oblicze starożytnego olbrzyma muskało pole
Kiedy chmury rzucały cień unosząc się w górze

W letnie popołudnie
Kiedy prawie wszyscy ucięli sobie drzemkę
Pobiegłem na pole

Przeżuwałem nadzieję pomiędzy zębami
Rozglądałem się dookoła i porzuciłem wszystko
Ale mój Boże, byłem żywy, wciąż żyłem!

JESIEŃ ŚLEPCA

I

Wiatr chłosta fale do szaleństwa
Moje ręce drżą na widok bezkresnej przestrzeni

Malutki czerwony kwiatusek połyskuje na widoku
Chociaż wkrótce zostanie zgnięciony

Wiatr chłosta fale do szaleństwa
Moje ręce drżą na widok bezkresnej przestrzeni

Nie było drogi powrotnej do wieczności
Wzdychałem na początku, trudno policzyć ile razy...

Moja młodość przerodziła się w stwardniałą żyłę
Gdzie amarylis, zachodzące słońce nieodwracalnie

zatonęło

Przelewa się w ciszy

I jak pożegnalny uśmiech odpływającej kobiety

Uroczyste, pełne i z wyrazem tęsknoty

Ciepłe i wciąż niesamowite, migocze tutaj w moich piersiach...

Tak, tutaj w moich piersiach...

Wiatr chłosta fale do szaleństwa

Moje ręce drżą na widok bezkresnej przestrzeni

II

Cokolwiek powstanie z tego, czy z tamtego

Na końcu wszystko jest takie samo

Czymkolwiek to, czy tamto mogłoby być

Na końcu jest mniej więcej to samo

Człowiek powinien mieć poczucie własnego ja

Wszystko inne idzie swoją drogą...

Poczucie własnego ja, poczucie własnego ja, poczucie własnego ja, poczucie własnego ja..

To jest wszystko, co zmywa piętno z naszych działań

Wolny od presji, radosny i wilgotny jak wiązka siana

Najlepiej trzymać przykrywkę na wczesnej mgle i obudzić się na starcie!

III

O moja Święta Mario!

Uwierzyłybyś, że plułem krwią!...

I gdybyś nie słuchała ze szczerego serca

Nie uwierzyłybyś, że nie miałem się do kogo zwrócić...

Przyczyna tkwi w tym, że nie jestem z natury spokojny

Przyczyna tkwi w tym, że nie wykazuję inicjatywy

Ale skoro moje kochanie przyszło tak naturalnie

Kochałaś mnie tak samo mocno kiedyś...

O moja Święta Mario!

Gdybym nie mógł zrobić nic więcej ponadto,

Jak tylko to, to właśnie to powinno być znane ż

Oczywiście, zdolność do kochania tak naturalnie

Nie jest często odczuwana

I nikt więcej nie powinien mieć przywileju doznawania tego

IV

Przynajmniej w chwili śmierci

Będzie unosić się w górze i mnie się objawi

Nie kłopotcz się wtedy swoim proszkiem

Nie kłopotcz się wtedy swoim proszkiem

Po prostu wystaw tę część siebie

Proszę, wypal światło w moich oczach

Nie zwracaj sobie głowy troską o mnie

Nie zwracaj sobie mną głowy w ogóle

Pojedyncza łza, pojedyncza łza spłynie

Proszę chuchaj dłużej ciepłem

— Ale czy łzy powinny zacząć płynąć

Nie wahaj się nade mną rozpostrzeć

A potem przejdź do zabijania mnie

Dzięki temu podźwignę się i krętą drogą będę wspinał się ku zapomnieniu

MOJE PAPIEROSY

Oto idą, te dwie białe twoje nogi

Ruszają się nieustannie, kroczą dumnie w dół ulicy

Tego wieczoru – tego chłodnego wieczoru w portowym mieście.

Latarnie przy niektórych sklepach się palą, a potem palą się wszystkie

Zauważam to, kiedy spaceruję przed siebie

Słyszę jak woła mnie twój głos:

Dlaczego nie pójdziemy gdzieś i nie będziemy się niczym przejmować?

Wtedy wchodzę do restauracji —

Zostawiając za sobą mosty i promy

Wybuchy gniewu mieszają się z wrzawą

Czyż to nie jest inny świat

I wtedy wpatruję się w twoją radosną, bezwstydną twarz

I zaciągam się boleśnie papierosem

Papieros za papierosem...

SIOSTRZYCZKA

Nocą piękna dusza płacze

— Jakże ona jest prawa...

Nocą piękna dusza płacze
„Mogłabym umrzeć chociażby zaraz” — powiedziała

Wieczorny wiatr się zrywa
Wieje nad mokrą czarną ziemią i ostrzyżoną trawą
„Mogłabym umrzeć chociażby zaraz; mogłabym umrzeć
chociażby zaraz”
Piękna dusza zapłakała

Noc, niebo wysoko, czuły powiew wiatru
— Mogłem się tylko modlić...

AUTOPORTRET W ZIMNĄ NOC

Nie chodzi o to, że to jest zbyt kosztowne
Ale nie popuszczę cugli
Przejeżdżając przez tak ponurą krainę!
Skoro zamiar się wyklarował
Nie będę rozpaczać po zimowej nocy
Tylko smutek z powodu ludzkiej niecierpliwości
I nucenie kobiet powodowane tęsknotą
Poczułem się jakbym był grzechem
Pozwoliłem mu przekłuć skórę

Chociaż zataczam się, to jestem spokojny
Z przekonaniem o słuszności
Strofuje się za swoją bezczynność
I idę, a nade mną zimowy księżyc

Radośnie trzymać kurs nie sprzedając się
To było pragnienie mojej duszy!

CIEŃ DRZEW

Światło słoneczne spowija świątynną bramę
Liście wiązu drżą delikatnie
Zielony cień lata
Koi moje wyrzuty sumienia

Straszne wyrzuty sumienia...uporczywe wyrzuty
sumienia
Moje dotychczasowe życie wypełnione idiotycznym
śmiechem
Stało się wnet łzawym mrokiem
Stało się wnet głęboko zakorzenionym zmęczeniem

I teraz, od rana do wieczora
Nie mam nic poza pokorą
Bez żalu, jakbym omdlewał
Wznoszę oczy do nieba...

Światło słoneczne spowija świątynną bramę
Liście wiązu drżą delikatnie
Zielony cień lata
Koi moje wyrzuty sumienia

STRACONA NADZIEJA

Niknąca w ciemnym niebie
Moja płonna nadzieja z lat młodości

Jak zawsze przypominająca gwiazdy w letnią noc
Jak zawsze widziana daleko na niebie

Niknąca w ciemnym niebie
Nadzieja, marzenie z lat młodości

Czołgam się tutaj po ziemi
Jak jakaś bestia z ciemnymi myślami

Nie sposób się dowiedzieć
Kiedy te ciemne myśli się rozjaśnią

To jest tak jakbym tonął w morzu
Widząc świecący nad głową księżyc

Wezbrane fale
A księżyc taki nieskazitelny

Moja płonna nadzieja z lat smutnej młodości
Właśnie znika w ciemnym niebie

LATO

Omdlewający, znużony...podobnie jak wtedy, gdy pluje
krwią
Pola i pszenica skąpane znowu w świetle słonecznym
Smutek przywołany przez drzemkę w nieskończonych
niebiosach
Omdlewający, znużony, podobnie jak wtedy, gdy pluje
krwią

Niebo goreje nad meandrowymi polami
Dryfujące chmury złocą się w niesamowitym świetle
I ponad drzemiącą ziemią znów pulsujące słońce
Ból, podobnie jak wtedy, gdy pluje krwią

Historia serca poczętego podczas szalejącej burzy
Stan uśpienia wzdłuż horyzontu płomiennego dnia
Jakby dobiegł do końca

To strzępiąca się tkanina rozplywa się nicość

Jestem tutaj jak zawsze, chociaż trup ze mnie...
Z rodzierającym bólem podobnie jak wtedy, gdy pluję
krwią

OBRAZ WEWNĄTRZ

I

Sosny powiewały na wietrze
Deptany żwir chrzęścił zbolały
Ciepły wiatr owiał mi czoło
Myśli oddaliły się ode mnie, tęskniłem

Odwróciłem się
Żeby posłuchać szumu fal
Bezgwiezdną nocą
Niebo było ciemną watą

W małej łódce, którą minąłem
Przewoźnik powiedział coś do swojej żony
Nie usłyszałem co

Było tylko słyszać szum fal

II

Nad całą wymazaną z pamięci przeszłością
Leją się łzy
Fosa zamkowa wysycha
Wieje wiatr

Po falującej trawie
Wspinam się na wzgórze poprzez pola
Bez ustanku;
Nie pojawiły się białe anioły.

W moim pragnieniu śmierci jest cichy smutek
W moim pragnieniu życia jest cichy smutek
W całej wymazanej z pamięci przeszłości jest cichy
smutek

Niech leją się łzy
Z nieba
Wieje wiatr